

Nam

Namierzenie

Według mapy Nam leży jakieś sto kilometrów na północ od Jakucka w dolinie Engsieli. Autobusy jeżdżą tam rzadko, więc wybraliśmy się toyotą Stiepana Konstantynowicza. Profesor zajechał po drodze na dworzec autobusowy, gdzie zawsze można znaleźć czekających na okazję i biorąc ich ze sobą, zarobić parę rubli na paliwo. Najłatwiej o kogoś do Zarzecza, to jest do Tatty, Boroghonu, Mai czy Amgi, bo tam autobusy nie jeżdżą wcale. Mówiąc „Nam”, Jakuci mają na myśli miasteczko, ale też całe terytorium ułusu, toteż kiedy zabieramy dwóch pasażerów, dopiero po krótkiej rozmowie okazuje się, że wysiadają po drodze, w Chamaghatcie i Üödeju. W samym Namie jesteśmy po niespełna dwóch godzinach. Tu znajdowała się *uprawa* ułusu, czyli zarząd, któremu bezpośrednio podlegał zesłaniec Sieroszewski.

Najpełniejszy opis swojego obejścia zostawił w *Pamiętnikach*. Gospodarstwo znajdowało się o pięć wiorst na północ od budynku zarządu, a o dwie wiorsty na zachód od brzegu Leny. Stoi tam dziś, a raczej chwieje się, wieś Appany. Dom, dwa ambary i jakucką oborę kupił Sirko od zesłańca Iwana Piotrowicza Rozienowa. Nieopodal biegła jedyna tu droga na północ, tuż obok zabudowań błyszczało jeziorko. Wokół obejścia ciągnęło się też te piętnaście dziesięcin, na których z takim trudem siał zboże, walcząc z suszami północnymi, pasikonikami

i Jakutami. Były też ogród, płoty i *serge*, czyli drewniany słup do wiązania koni.

Dom Sirki wyróżniał się, bo w przeciwieństwie do jakuckich siedzib miał spadzisty dach i dwa oszklone okna. O północną ścianę wspierał się skromny balaghan, który pan Wacław nazywał kuchnią. Do kuchni zaś przylegał jeszcze ażurowy okólnik dla bydła. Sirko mieszkał z Marysią, ale miał też gospodynię Okulinę, która żyła w kuchni wraz ze ślepą przyjaciółką Ketris, jej synkiem i kurami. A że ściągnął znad Ałdanu Kornela Bagrynowskiego i często gościł innych zesłańców, zbudował „w kącie podwórza” nowy balaghan. Poza Bagrynowskim przemieszkowali tam jeszcze Franc Cobel z Łodzi i Leonard Frenkel z Warszawy. Czasem wpadał Feliks Kon, też warszawiak, jeszcze częściej znany w okolicy lekarz Aleksander Sipowicz, wilnianin. Polaków i polskich Żydów było tu tak wielu, że nawet Mania i Okulina zaczynały rozumieć po polsku.

– Nikt taki tu nie mieszka – na pytanie o Sieroszewskiego odpowiada spotkanie na skraju Appany jeździec.

O takim nazwisku nie słyszał też Prokop, który prowadził kobyłę po inseminacji i ostrzega, że „jeszcze bryka”. Pomóc nie mogą również Siemion, pracujący przy ogacaniu domu, ani sklepowa i bibliotekarka, choć dobrze wiedzą, kim był pan Wacław. Wieś Appany, jak większość wiosek w Jakucji, powstała dopiero po kolektywizacji, czyli w latach trzydziestych. A i to bardziej na papierze niż w przestrzeni. Sacha żyli wówczas tak jak za Bekietowa, w ogromnym rozproszeniu – dwie, trzy jurty na nadrzecznych łąkach *kytył* bądź jeziornych, okrągłych jak patelnia *alaasach*. Spotykali się rzadko, na weselach czy dla wypitki, czasem, żeby posłuchać *olongcho*. Sieroszewski nie miał więc raczej sąsiadów. Rodzina, która mieszkała najbliżej, zmarła na wąglik w 1888 roku, a ich balaghan spalono. W gminie na nasz widok wrzucyli ramionami (wójta nie ma) i odesłali nas do Mikołaja Siemionowicza Gawrilewa, najstarszego mieszkańca Appany.

Staruszek Mikołaj Siemionowicz jest chyba z drewna, z kruchych patyków i suchej kory modrzewia. Oczy ma nie swoje, raczej sowy (puszczyk mszarny, *Strix nebulosa*), a i słowa wypuszcza jak ptaki. Całe stado spłoszonych piskląt, jakieś rzadkie

gatunki, o których nie ma zdania w żadnych książkach. Nie nadążam za tą ornitologią i proszę go, żeby powtórzył po rosyjsku, a on zapewnia: „*Choroszo*” i znowu wraca do swoich ptaków. Sirko pisał, że elokwentnego rozmówcę Jakuci nazywali „człowiekiem o skrzydlatych słowach”. Jeśli zatem chcesz się czegokolwiek dowiedzieć o zesłanych tu Polakach, musisz chwycić po kilka naraz i zaglądać przy tym do słownika! Na szczęście w sukurs przychodzi profesor.

Pan Mikołaj urodził się w 1921 roku, dwadzieścia dziewięć lat po wyjeździe Sieroszewskiego. Wychowywał się pośród ludzi, którzy znali polskiego zesłańca, ba, pomagali mu zbierać materiały do *Dwunastu lat w kraju Jakutów*. Rozdziały poświęcone rolnictwu, rodzinie i wierzeniom pełne są wypowiedzi mieszkańców Namu. Staruszek otwiera raz po raz tę najbardziej znaną w Jakucji książkę (obok *Dzieł Lenina*) i coś tam z niej wydrapuje ptasim pazurem. Jakby to była zdrapka.

Obejścia carskich osiedleńców się nie zachowały, ale to pewne, że Sieroszewski tu żył. Nikt nie wie jednak gdzie. Jakuci wymawiali jego nazwisko *Czaraczyaskaj*. Jeszcze przed wojną, kiedy projektowano kołchoz imienia Karola Marksa i wioskę Appany, staruszek słyszał historię o pochodzeniu nazwy jeziora za wsią: Woda Sieroszewskiego. Ponoć kiedyś przejeżdżał tamtędy prawosławny batiuszka na bani, spadł z konia i utonął. Mieszkający na okolicznych łąkach i w lasach Jakuci myśleli, że to sam Sieroszewski. Stąd się wzięła *Czaraczyaskaj uuta*, Woda Sieroszewskiego, nazywana też Wodą Rosjanina. Ale czy nad tą wodą stał jego dom? Tego nie wie Mikołaj Siemionowicz. Pamięta natomiast, że nieżyjący już Piotr Siwcew, założyciel muzeum w Namie, wspominał mu, że Polak mieszkał gdzieś od zachodniej strony Kyhył Dieriebine, to jest sąsiedniej wioski. Leży ona jednak tak blisko Appany, że nawet gdyby Sirko mieszkał nad bajorkiem swojego imienia, można by uznać, że to od zachodniej strony Kyhył Dieriebine. Nie zgadza się jednak *nasleg*, czyli gmina: Woda Sieroszewskiego leży na terenie dawnego naslegu Kusaghan Yał, a Sirko zesłany był przecież do sąsiedniego: Cha-tyng Aryy. Ten drugi zaczyna się zaraz za drogą, która biegnie brzegiem bajorka, tam, gdzie u stóp podługowatego pagóra blika

drugie, jakby bliźniacze jeziorko. Może sto lat temu stanowiło jedno z Wodą Sieroszewskiego? A w miejscu brodu, w którym utonął podchmielony batiuszka, z czasem zbudowano drogę, która przedzieliła Wodę na pół? Nazwy nie dało się rozdzielić, więc została tylko przy jednej z połówek. Dziwne, że staruszek mały staw, jakim jest Woda, uparcie nazywa jeziorem.

Na nazwy trzeba tutaj uważać. Powstające po kolektywizacji sztuczne wsie chrzczono hasłami z czerwonych transparentów albo według własnego widzimisię. Na przykład Kyhył Dieriebine, czyli Czerwona Wioska, albo Appany, co po jakucku oznacza „wąwóz”, choć wąwozów tu nie ma. Tych nazw używają jednak głównie przyjezdni, Rosjanie albo rosyjskojęzyczni Jakuci, można je także znaleźć na współczesnych mapach. Mówiący po jakucku nazywają zaś swoje wsie tak jak nasłegi: Chatyng Aryy i Kusaghan Yal. Tak też jest zapewne w nielicznych innych tutejszych siołach: we Frunze, Partizanie, Chatyryku. Być może multiplikacja miejsca przez dublowanie toponimiki to sposób na radzenie sobie z przestrzenią? Na jej zagęszczanie.

Przetrwiała zatem Woda Sieroszewskiego i etymologia. I opowieść Nauma Naumowicza Siwcewa, najstarszego mieszkańca Kyhył Dieriebine, zasłużonego traktorzysty kołchozu imienia Karola Marksa. Zapytany o Sieroszewskiego Naum Naumowicz wsiadł do toyoty i kazał się wieźć na górkę przy Wodzie Sieroszewskiego, tę po stronie Chatyng Aryy. Twierdzi, że prawie czterdzieści lat bronował i orał na polach, z których niegdyś żął Polak. Jego zdaniem *Czaraczyaskaj* musiał mieszkać nad wodą swojego imienia, na szczycie wspomnianego pagórka. Jeszcze w latach trzydziestych znalazł na nim stary *ötöch*, czyli resztki jakuckiego bałaghanu. Potem zbudowano tam prowizoryczny tartak, jakąś szopę, a niedawno ubojnię bydła.

Podłużny pagór nad Wodą Sieroszewskiego – jak wszystko w Engsieli: droga, rzeka, klucze gęsi i horyzont – ciągnie się z południa na północ. Południowy stok, wielki niczym szkolne boisko, zbiega łagodnie aż do ścieżki, za którą leży Woda. Północny zaś obrywa się gwałtownie, choć zdaje się, że zniwelowano go buldożerem, by można wjeżdżać na górkę i od tej strony. Na szczycie spojrzenie przykuwają plama ceglano-białego mianu i kilka

odłamków starej cegły w trawie. Kiedyś stał tu piec. Dalej cztery sterzczące z ziemi pale, jak pniaki po ściętych drzewach, wyznaczają kwadrat zielonej trawy z trójkątem tasznika i rdestu ptasiego w kącie. To ślad po balaghanie, a tasznik i rdest wyrosły w miejscu, gdzie stało palenisko. Do kwadratu przylega jeszcze jeden czworokąt, tej samej wielkości co miejsce po balaghanie, ale trawa tam rośnie bujna i żywozielona, jakby nawożona; to bez wątpienia dawna zagroda dla krów. Ze śladów wynika zatem, że stały tu blisko siebie dom, kuchnia i okólnik. A w takim trojaku mieszkał przecież Sirko. Ale czy na pewno w tym?

– Innego *ötöch* w pobliżu nigdy nie było – zapewnia nas Naum Naumowicz.

Wspomina jeszcze, że kiedy po rewolucji powstawały okoliczne wsie, budynki z tajgi przenoszono do pierwszych kołchozów. Tak najprawdopodobniej było z obejściem pisarza, obok którego wyrosła po rewolucji wioska Appany. Balaghanów i zagród często już nie odtwarzano, ale służyły jako budulec dla nowych, wznoszonych już z rosyjska chat. Odbudowywano za to spichlerze, które rzadko otwierane i nigdy nieogrzewane są dużo trwalsze niż domy. Niewykluczone zatem, że bierwiona z domku pisarza tkwią do dziś w ścianie jakiegoś chotonu, a jego dwa ambary nadal komuś służą.

Dom może i przenieśli, ale miejsca nigdzie zabrać nie można. Miejsce, póki ludzie je nazywają, nie przemija i pewnie się nie starzeje. To nie tylko powietrze czy jakieś ruiny. Ma przecież współrzędne: pięć wiorst na północ od Namu, dwie wiorsty na zachód od Leny. Gdzieś tu jest, gdzieś tu się rozciąga.